

Rok IV.
Kraków, dnia 21 sierpnia 1910 r.
Nr. 34.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1. Cena drobnych ogłoszeń 3o halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

Kółka gospodyń wiejskich.

Żyjemy w okresie oświaty. Dziś każdy, ktokolwiek chce osiągnąć coś lepszego, musi posiąść mniej lub więcej nauki, nabrać nietylko doświadczenia z własnego życia, ale wiedzieć, jak i co się robi gdzieindziej.

Weźmy na przykład gospodarza wiejskiego. Dawniej wystarczało, gdy nie pił, nie próżnował, tylko domu, roli i dobytku pilnował, a gospodarzył sobie spokojnie, jak jego ojciec i dziad robili.

Dzisiaj jest inaczej; dziś gospodarz musi dużo się uczyć i o niejedną książkę zawadzić. Jak chce dobrze rolę uprawić i koło bydła chodzić, winien dobrą radę w *Przewodniku Kółek rolniczych* przeczytać albo na wykładzie w sali szkolnej posłuchać. Musi coś niecoś umieć z praw, aby sobie dać radę w urzędzie gminnym, w starostwie, w sądzie.

Ale oświata potrzebna jest nietylko gospodarzom. Zupełnie tak samo potrzebują jej gospodynie wiejskie. Nie mówiąc już o gospodarstwie, oświata konieczna jest jej do najważniejszego zadania, jakie przypadło kobiecie z woli Bożej: aby być dobrą matką.

Nie potrzeba obszernie pisać, jak ważne a trudne zadanie ma każda matka do spełnienia. Jaka matka, takie dzieci, jakie dzieci, tacy z nich ludzie, jacy ludzie, taka ojczyzna, taki naród. Matka dawszy życie dziecku, utrzymuje niemowlę przy życiu wielkiemi staraniami. Już tutaj potrzeba jej oświaty, aby wiedzieć, jak uchronić małe dzieci od choroby, jak leczyć i ratować kwilące biedactwo. Gdy dziecko podrośnie, zaczyna się pierwsza nauka i tu matka musi sama coś umieć, aby nauczyć dziecko, zanim ono pójdzie do szkoły.

Nauka pierwsza, od matki, nie jest taka łatwa i mało ważna, jakby się zdawało. Matka uczy dziecko posłuszeństwa, rozwagi, panowania nad złemi popędami. Ale co ważniejsza, matka wpaja w dziecko, a przynajmniej wpajać powinna, pierwsze pojęcia o Bogu i Ojczyźnie. Jak często, niestety, zdarza się, że kobieta matka nie wie, iż jest Polką, a czasem i to bywa, że nie umie się przygotować do spowiedzi i Komunii świętej i nie zdaje sobie sprawy z ważności tych Sakramentów. Czy taka matka potrafi nauczyć dziecko, jak trzeba kochać Pana Boga?

Szerząc oświatę powinno się zatem pomyśleć o matkach, tych podstawach rodzin. Ta myśl przyświecała założycielom bardzo pożytecznych stowarzyszeń, które powstały najpierw w jarosławskiem, a których nazwa jest: »Kółka gospodyń wiejskich«. Parę pierwszych Kółek zaczęło iść doskonale, i pożytek ich odrazu się okazał. Zatem przystąpiły do działania w tym kierunku Kółka rolnicze a Zarząd główny Kółek wypracował już plan, jak takie Kółka należy zakładać i jak prowadzić. Przypatrzmy się tej nowej, godnej poparcia pracy. Oto co pisze statut: »Oddział kobiecy może być zaprowadzony przy każdem Kółku rolniczem, jeżeli za tem oświadczy się przynajmniej 10 kobiet, należących do Kółka rolniczego.

Na czele takiego Kółka powinna stanąć włościanka jako przewodnicząca, jej zastępczynią lub sekretarką niech będzie członkini Kółka ziemianek, a jeśli ich jest więcej, dobrze, gdy zajmą oba te urzędy. Kasyerką powinna być zawsze włościanka, to ułatwia pracę — aby jednak nie przechodziło tego, co ona umie, najlepiej niech odbiera tylko pieniądze za kwitkami, a zastępczyni przewodniczącej lub sekretarka niech sama prowadzi dokładną książkę kasową. Wkładki uchwalać jak najniższe np. 4—6 halerzy miesięcznie, wpisowe 10—20 halerzy.

Zgromadzenia tego Kółka powinny się odbywać co najmniej dwa razy w miesiącu w lokalu Kółka rolniczego, w gminie, w szkole, o ile jest pozwolenie, a wreszcie jeśli brak tego wszystkiego, w jakiej obszernej izbie dworskiej. Zapełnić je można czytaniem i pogadankami, aby rozjaśnić umysł, podnieść ducha, oraz według statutu szerzyć wiedzę gospodyni. Trzeba tylko unikać politykowania, a czytać różne gazetki pouczające i książeczki.

Dążeniem jest, aby do Kółka należały głównie dorastające dziewczęta i młode matki, gdyż w młodych łatwiej rozbudzić zapał dla dobrej sprawy, zachęcić, by działały według wskazówek a nieraz wbrew zakorzenionym przesądom. Nie można jednakże odsuwać od Kółka kobiet starszych, jeśli tylko mają ochotę doń należeć. Niech się zapisują te wszystkie, co zamiast bawić się pospolitemi plotkami, chcą się czego nauczyć. Jeżeli raz jeden dadzą się przekonać i będą potem gorliwemi uczestniczkami Kółek a ich powaga i doświadczenie życiowe może się nieraz przydać całemu zgromadzeniu, i jest ogromną zachętą dla młodszych.

Za dobrym przykładem idźmy więc wszyscy i gdzie tylko jest iskierka nadziei, że praca się powiedzie — zakładajmy i prowadźmy takie Kółka.

Krzyżacy na Litwie.

XXXVII. NIESPODZIANA ZDOBYCZ.

Śmiała staruszka. — Tajemnicza branka. — Helena opiekunką Pojaty. — Rozmowa o Trojdanie. — Jak Pojata stała się branką? — Jak komtur rządził się na Litwie? — Pojata poznała zamysły komtura. — Gniewy Heleny. — Podejrzenia przeora.

Raz, gdy komtur przegląd miał czynić licznego jeńca, mężczyzn i niewiast, z różnych stron zebranych, usłyszał mocny rozruch między więźniami. Przyczyną jego była stara branka, dopominająca się u dozorcy, żeby ją koniecznie do przeora wiedziono. Stawiła się ona tak śmiało, tak głośno wzywała imienia jego, że komtur, usłyszawszy tę wrzawę, rozgniewany udał się w tę stronę w zamiarze zgromienia niewiasty, i spostrzegł ją w rzędzie więźniów, których odzież i postawa oznaczać się zdawały ludzi lepszego mienia. Właśnie śmiała staruszka ząb za ząb kłócąc się, ostatnich sił dobywała, aby przekonać, że musi stać się podług jej woli.

Zdziwiony komtur tak osobliwszem niewolnicy żądaniem, patrząc na nią zdaleka, spostrzegł obok niej dość kształtną z pozoru kobietę, która drżąca, trzymając się silnie towarzyszki, twarz obwiązaną bogatą chustką pod jej rękę tuliła. Możnaby mniemać, że to była córka niespokojnej niewiasty, gdyby znaczna w ich ubiorze różnica nie obalała tego domysłu. Prócz tego, więzy młodej osoby, nie tak jak innych ściśnione, lekko krępując jej członki, dozwalały rąk łatwego użycia, a nogi ciepłem opatrzone obuwiem, dawały poznać, że w obejściu się większy nad innych dla niej wzgląd miano. Nie uszła baczności komtura tak troskliwa koło niej staranność, zbliżył się więc do niej i pytał dozorcy, co to jest za niewiasta i gdzie pojmaną została?

— Jest to rybka, prześwietny komturze, której złowienie, dalibóg, o mało mnie życia nie kosztowało — odpowiedział dozorca, zdzierając osłonę z twarzy branki, która ją z przykrym jękiem pod ramię staruszki tuliła. — Ta druga stara sekutnica więcej mi w drodze czyniła kłopotu, niż cały ten jasyr.*) Stare to próchno, prześwietny panie! ale ta druga, co się tak sroma, dalibóg, warta, żebyście jej pierwej, niż przeor, w oczy zajrzeli.

— Ja się pytam, skąd prowadzisz tych więźniów?

— Z nad Niemna, prześwietny panie! — odpowiedział dozorca. — Słońce już było na zachodzie, kiedyśmy wpadli do pięknego dworu, stąd pięć dni drogi; każdy brał, co się zmieściło, bo prawda, był w nim dostatek wszelaki, a Stumf brał tę dziewczynę. Potem uciekaliśmy co tchu. Straż dworska prędko się obejrzała, ale my już byliśmy na końcu wioski. Niech ich kaci porwą, jak mają donośne rusznice! Dwóch nam knechtów położyli na drodze, a jednego ranili. Dowódca straży, widząc, że my coraz dalej z łupem, głośno wołał za nami, że nam tysiąc sztuk złota zapłaci, byleśmy mu odesłali dziewczynę, ale Stumf nie głupi. No, pokażże się panu! — mówił, odwracając brankę od staruszki — wszakże cię nie zje.

Przynaglona branka musiała się nakoniec dać poznać. Jakże wielkie było zdziwienie Sudsteina, jak wielka radość, gdy w niewolnicy ujrzał — Pojatę!

Stała w tłumie jeńców bez poruszenia. Rzucił się komtur na rozwiązanie jej więzów, przepraszał, cieszył i wszystko czynił, co tylko ją mogło dobrą myślą pokrzepić. Ośmielona cokolwiek dziewica prosiła, żeby z towarzyszką swoją, ciwunową, rozłączona nie była. Wszystko jej przyrzekał, owszem, zapewniając, ze jak tylko być może najprędzej ojcu odesłaną zostanie, prosił, aby tymczasem z trudów podróży wypocząć chciała i w tym celu prowadził ją do baszty. Musiała uledz konieczności Pojata, tem się ciesząc, że koło siebie ciwunowę widziała.

Wypadek ten nowe widoki otworzył oczom dumnego Krzyżaka. Ujrzał się nagle panem dziewicy, której znakomitość i wdzięki, pochlebiając jego miłości własnej, słodko odnawiały w jego duszy żądzę spełnienia najdroższych zamysłów, owszem, mając pod rozkazami swemi siłę zbrojną tak mocną, nigdy łatwiej jak w tej chwili, nie widział sposobności połączenia własnej sprawy ze sprawą Litwy. Wiedział on dobrze, że skutek jego zamiarów szczególniej na bacznem prowadzeniu rzeczy, równie jak na pozyskaniu ufności Pojaty zależy; postanowił zatem i dla uniknienia podejrzeń i dla zyskania jej ufności, umieścić ją pod dozorem Heleny.

Przyjęła ją nie bez dumy Helena, z oznakami życzliwej chęci i użalenia, jakich bardziej przytomność komtura, niż stan nieszczęśliwej po niej wymagały, w gruncie zaś gniewem się oburzyła, widząc, że i w tem miejscu spotkać musi tę nienawistną sobie pogankę. Umiała Pojata czytać w duszy Heleny. Wyniosłe Polki spojrzenie nadto było mówiące, żeby jej nie przypomniało tej nieprzyjaznej chęci, którą Helena na zamku wileńskim od pierwszego dała jej poznać ujrzenia.

Choć się w tej chwili Pojata bardziej jej, niż kiedykolwiek, lękała, szczęściem dla siebie sądząc spotkanie jej w tem miejscu, jak tylko oddalił się komtur, padła przed nią na kolana, wzywając litości i prosząc, aby ją zachować raczyła przed srogością losu, który jej grozi. Nie mogła przenieść na sobie Helena, żeby tak pokornej ufności jakąkolwiek nie pocieszyła otuchą, podniosła ją grzecznie i biorąc na siebie postać ochmistrzyni, korzystała ze sposobności, aby dać jej uczuć, iż nie jest niewiadomą jej słabości dla chrześcijanina i że obecne nieszczęście nie inaczej uważać powinna, jak tylko za napomnienie nieba powrotu na drogę cnoty, z której zboczyła.

— Samiście, sami sobie winni — mówiła groźnie Helena. — Jak można było tak dalece zapomnieć się? Osoba dobrze urodzona, dobrze wychowana, powinnaż wchodzić w tak ścisłe porozumienia z mężczyzną, z ofiarnikiem, którego świątynia na zawsze rozdziela ze światem? Moja panno, możnaby mniemać, żeś dobrze znała prawdziwy stan jego! Powiedzże przynajmniej, byłże on ci wzajemnym?

— Cóż ci, pani, mogłabym na to odpowiedzieć? — mówiła, spuszczając oczy zarumieniona. — Czyż trzeba jeszcze, abym w mojem nieszczęściu i o tem wątpiła? Nasze winy i błędy nie w nas się znajdują, lecz w różności naszej religii; ja mu jednak chętnie przebaczam; ktokolwiek on jest, żałuję go, bo on wszystko, co czynił, myślał, że najlepiej czyni.

— Mylisz się — przerwała z żywością Helena — on cię zdradzał, wiedząc, że zdradza, on cię nigdy nie kochał, on nie był zdolny kochać.

— Nie, pani! — rzekła głosem mocnego przekonania dziewica — jego serce było dla mnie tkliwem. Gdyby jego uczucia nie były rzetelne, puściłby nas, nie objawiwszy stanu swojego, lecz dusza jego cnotliwa przenieść na sobie tej zdrady nie mogła.

— Zapewne! bardzo musiał żałować, jednakże pojechał — mówiła z szyderczym uśmiechem.

— Zły tylko człowiek nie umie przenieść ojczyzny nad wszystko — odpowiedziała spokojnie Pojata.

— Osobliwie, jeśli tam znajduje się inna piękność!

— Ach, pani! jakże srodze serce moje rozdzierasz! — zawołała Pojata. — Jest więc inna, dla której nie lękał się przywieść nas do nieszczęścia!

*) Jasyrem nazywano z tatarska gromadę więźniów wojennych.

— Ciesz się nieszczęśliwa! ciesz się! jesteś pomszczoną! — ściskając ją, z żywą czułością mówiła Helena. — Napróżno on tam pojechał, ta, którą ubóstwiał, już jest przeznaczona innemu. Dowiedz się, że masz we mnie towarzyszkę niedoli! Tak jest, on mnie niegdyś także był miłym, rodzice nasi układali nasz związek; niewdzięczny! zaniechał mnie dla tej samej, dla której i ciebie opuścił!

— Żałuję cię, pani — odpowiedziała zdziwiona tem Pojata — lecz cóż stracone twoje nadzieje mogą mieć wspólnego z naszą niedolą? On zbiegiem okoliczności tylko, z woli omylonego ojca mojego, został mi narzeczonym, ja go uwalniam od danego słowa i życzę, aby zapomniał o nas na zawsze.

— Nie mówmy więcej o tem — rzekła zrażona Helena — nasze sposoby widzenia nigdy się nie zgodzą. Powiedz mi raczej, jakiem nieszczęsnem zdarzeniem rozłączona zostałaś z ojcem!

— W kilka tygodni po wyjeździe Jagiełły do Polski wybrał się ze mną mój ojciec w głąb Litwy dla objechania niektórych okolic, gdzie obecność swoją potrzebną być sądził. Wszędzie znalazł mniej lub więcej przyczyn nowego zmartwienia. Byliśmy wtenczas nad brzegami Niemna, gdy wieść nas doszła o wkroczeniu Krzyżaków do Litwy, którzy z taką nagłością brzegi Niemna opanowali, żeśmy ledwo czas mieli pomyśleć o ucieczce. Mój ojciec, zdawna zaprzyjaźniony z księciem Danielem, dom jego za najbliższe uważał schronienie. Istotnie znaleźliśmy w nim wszystko, czem tylko najotwartsza gościnność może nieszczęśliwych obdarzyć. Książę, więcej zamożny w łowieckie porządki, niż w obronny oręż, prócz tego niewierzący w postrachy, wszystkie nasze obawy i rady obwarowania domu w żarty obracał, gdy dnia jednego, kiedy służba dworska po większej części łowami była zajęta, wpadł na dziedziniec zastęp krzyżacki i z taką nagłością na dom uderzył, że ani podobna było myśleć o ratunku. Nie pamiętam dobrze, gdziem się pod tę nieszczęsną porę znajdowała, w moim pokoju, czy też przy ojcu; lecz gdym wróciła do przytomności, ujrzałam się na koniu w ręku Krzyżaka. Myśl, co się z ojcem moim stało, naprzód mię uderzyła i gdy gorzko płakać zaczęłam, miałam pociechę usłyszeć głos towarzyszki mojej niedoli, która obok mnie jadąc z drugim Krzyżakiem, nie przestawała mię zapewniać, że nieprzyjaciel chciwy tylko zdobyczy, oręża nawet nie dobył. Zabłysnęła wkrótce dla nas nadzieja, gdyśmy ujrzeli pogoń za sobą Daniela, która tak nas blizko dosięgać zaczęła, żeśmy słyszeli wyraźnie drogi okup za mój powrót dawany, ale ten głos znikł pędem konia, który nas coraz bardziej oddalał od goniącego księcia. Kilka nakoniec wystrzałów, niszcząc ostatek nadziei, nowej dla mnie obawy było przyczyną. Nie umiem wyrazić, jak srogie było moje położenie, gdym się ujrzała w bezpiecznem posiadaniu moich zdobywców; jedyną tylko miałam pociechę w towarzystwie tej cnotliwej niewiasty, która mię nigdy nie odstępowała. Czwartego dnia, złączywszy się z innym jeńców oddziałem, stawione zostałyśmy w tem miejscu.

Tak opowiedziawszy swe przygody Pojata i oddawszy się opiekunce swojej, niczego nie opuszczała, czem tylko mogła na jej łaskę zasłużyć i o wdzięczności zapewnić. Komtur tymczasem, szczęśliwy ze sposobności codziennego oglądania przedmiotu najdroższych swych życzeń, coraz mniej dbając o obowiązki wodza, o to starał się jedynie, żeby się mógł podobać Pojacie i kiedy z jednej strony wszelkie w tym celu łożył starania, z drugiej niczego nie zaniedbywał, czemby tylko mógł ująć dla siebie serca Litwinów. Wojska jego jak najsurowszy otrzymały rozkaz dobrego obchodzenia się z mieszkańcami kraju.

Puszczał wolno, hojnie obdarzając swych jeńców, dawał wspaniałe w obozie bankiety, uczęszczał na pobożne Litwinów igrzyska, bóstwom się ich nawet kłaniał, słowem wszystko czynił, co tylko mogło narodowi dać do zrozumienia, iż on tylko jest w stanie zastąpić stratę księcia, który go opuścił. To zaczęło pomału ujmować serca Litwinów, mianowicie tej części kraju, która przez wojska krzyżackie była zajęta.

Ale wszystkie te piękne nadzieje, wszystkie układy i porozumienia z narodem, roztrącały się o niedostępne zamki, które Hamilon w mocnej trzymał straży. Wilno, Troki, Grodno, Lida i wiele innych, dobrze obwarowane, nie dopuszczały układnemu najezdnikowi ostatecznego dopełnić kroku. Znał dobrze Hamilon zamiary komtura, wiedział, jak dalece lud umiał obłąkać, co większa, postrzegał ze smutkiem, iż w niektórych twierdzach duch, sprzyjający zamysłom Krzyżaka, zaczął się objawiać; nie sądził przeto rzeczą rozumną drażnić jego pychę, tem bardziej, że widział potężne z tyłu posiłki; przybrał zatem postać sprzyjającego mu pośrednika. Nie umiał się poznać komtur na tych wybiegach; miłość, dla której żył jedynie, grubą przed jego oczyma zawieszała zasłonę; ciągle Pojatą zajęty, tem się najbardziej utrapiał, że wszystkie swe zabiegi dla pozyskania jej serca daremnemi widział.

Już kilka niedziel uszło od jej przyprowadzenia do baszty, a żaden promień nadziei nie obiecywał mu przyjaźniejszej ze strony jej chęci, ciągle milczenie i smutek jednostajną były odpowiedzią na wszystkie jego oświadczenia najtkliwsze. Nie tajne były Helenie zamiary komtura. Będąc codziennym świadkiem dowodów jego przychylności dla ludu, jego dla Pojaty starań najczulszych, nie wątpiła więcej, że Krzyżak wyniosły przez jej rękę ściele sobie drogę do najwyższej godności. Długo kryjąc swą niechęć, różne wynajdywała sposoby przeszkodzenia mu widywania Pojaty, lecz gdy komtur tem żywsze dla niej objawiał uczucia, im więcej przeszkód do jej odwiedzenia znajdował, Helena, przestając ukrywać się, z całym nienawiści zapędem gniewy swoje wywierała na nieszczęśliwą dziewicę, wreszcie dawała jej poznać, że bez uwłaczenia sobie, nie może dłużej u siebie trzymać osoby, z którą w ścisłe porozumienia wchodzi poświęcony zakonnemi ślubami młodzieniec.

Łzy gorzkie, w nocnej ciemności ronione, były jedynem ulżeniem strapień nieszczęśliwej córki Lezdejki. Ciwunowa, nieodstępna jej towarzyszka, różne wynajdywała sposoby na jej pocieszenie, już to zapewniając, że ojciec z Danielem czuwa nad jej oswobodzeniem, już jej nadmieniając o sposobach dostania się do Wilna. Ale wszystkie te nadzieje czas ubiegający bezowocnemi czynił. Lezdejko i nieświadomy, kędy jego córka uniesiona została, i straż, która nie dopuszczała ujścia z rąk ciemiężyciela.

Jeśli w tak ścisłem zamknięciu trzymał komtur Pojatę, miał i on swych stróżów i spostrzegaczów, którzy równie mu nieprzyjemnem jego położenie czynili. Przeor malborski, człowiek pobożny a przenikliwy, pilne dawał oko na wszystkie jego postępki. Nie miał on mu za złe dobrego obchodzenia się z ludem, ale nie mógł nieprzewidywać, że ta łaskawość w dumnem sercu Sundsteina nie z ludzkości wypływa. Nadewszystko zaś ścisłe jego porozumienie z Pojatą zaczęło mu być podejrzanem. Nie mógł patrzeć bez zgrozy, jak komtur godziny nawet modłom należne, jej towarzystwu poświęca. Już też i w obozie głośno mówić zaczęto o jego słabości dla pięknej poganki. Umiał komtur mężnie znosić wszystkie te przeciwności, a oszczędzając sobie przychylność przeora, układnemi słowy tłumaczył swe postępowanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

25.

Po krótkiem panowaniu Aleksandra obrano królem trzeciego syna Kazimierzowego, Zygmunta.

Był to pan bardzo gospodarny. Wstąpiwszy więc na tron, pomyślał najpierw o porządku w domu i aż się wziął za głowę, widząc jak w skarbie nie było ani grosza, a dobra królewskie pozadłużane i poniszczone. Wnet to jednak uporządkował.

Na Litwie jednakże ciągle się burzyło z powodu nienawiści przeciw Kniaziowi Michałowi Glińskiemu, który wkońcu pokumał się z Moskalami a Polskę zdradził. Ale i bez Glińskiego król dał sobie radę, gdyż pod Orszą książę Konstanty Ostrogski pobił na głowę Moskali, a car rozgniewany na Glińskiego kazał go wsadzić do więzienia i oczy mu wyłupić.

Zaledwie król uspokoił się z Moskalami, gdy wkroczył w granice Polski Bohdan, wojewoda wołoski. Wyruszył przeciw niemu hetman Krzemieniecki i do ustąpienia a nawet złożenia hołdu zmusił.

Wielkim mistrzem Krzyżackim był wtedy siostrzeniec króla, Albert, który, korzystając z kłopotów wuja, chciał zabrać Pomorze i Gdańsk. Wysłał tedy król hetmana swego Firleja z wojskiem, któremu się dobrze powiodło, tak iż mistrz, widząc wkońcu, że i te kraje straci, które miał w posiadaniu, bo już Polacy byli pod Królewcem, prosił króla, aby mógł do niego przyjechać i przeprosić, na co król pozwolił i mistrz przyjechał do Torunia. Tu jednak dowiedział się, że przypłynęło dla niego 4000 świeżego wojska. Zerwał umowę i zaczął na nowo wojnę, ale już nie mógł nic poradzić. Rozgoryczony, zrzucił płaszcz krzyżacki, przyjął wiarę luterską, a wkońcu ożenił się.

Albert, chcąc zapewnić sobie posiadanie krajów krzyżackich, przyjechał do Krakowa błagać wuja o przebaczenie. Zygmunt zasiadł w monarszym ubiorze na tronie, wystawionym na rynku krakowskim, a Albert na klęczkach hołd mu składał.



Albert, książę pruski, składa hołd Zygmuntowi I.

Historya ognia.

Niedawno podaliśmy rady, jak należy się zachować w czasie pożaru. Rzecz ta bardzo się podobała naszym czytelnikom. Kilku z nich prosiło redakcyę *Roli*, aby napisała historyę ognia. Życzenie to spełniamy w dzisiejszym numerze.

*

Dziś trudno sobie nawet wyobrazić, jak świat mógłby się obywać bez ognia. A przecież były czasy i to tysiące lat, że ludzie ognia nie znali zupełnie, a przecież żyli, zupełnie nie odczuwając tego braku. Nie znaczy to jednak, aby ludzie wcale ognia nigdy nie widzieli, lecz znaczy, że nie stosowali go do swego użytku.

W czasach tych ogień zdarzał się tylko wtedy, gdy piorun uderzył w las, lub step i zapalał nagromadzone tam suche materyały. Czasem zapalały się suche łodygi sitowia, ogrzane bardzo przez słońce, wskutek własnego tarcia.

Ludzie dawni z przerażeniem patrzyli na płomień pożaru i poczytywali ogień za straszną, okrutną istotę żywą, za mściwe bóstwo, które niesie śmierć i zagładę. I dużo upłynęło czasu, zanim zmuszeni potrzebą, wzięli ogień na swój użytek. A wtedy, ceniąc dobroczynne jego działanie, gdy im ognisko rozświecało ciemną jaskinię, gdy ciepło wchodziło w zesztywniałe z chłodu członki, gdy płomień pełzający zabezpieczał ich od natarczywości dzikich zwierząt — poczęli czcić ten żywioł i za bóstwo go uważali, modląc się do niego.

Niektóre ludy posiadają legendy o tem, w jaki sposób ludzie zdobyli ogień na swój użytek. Jedna z opowieści australskich opowiada o »strasznym ptaku ognistym«, to jest o wulkanie, i w jaki sposób mu ludzie ogień wydarli.

»W dawnych, bardzo dawnych czasach gnieździł się ptak na wysokiej górze, która sięgała nieba. Ptak żył dostatnio, bo miał ogień, na którym piekł mięso, ale nie użyczał go ludziom, co trzęśli się z zimna. Razu jednego zoczyli oni ognisko wspaniałe na wierzchołku góry. Poczęli rozmawiać o tem, że wielki ptak porwał kawałek słońca. Zebrał się tedy wszystek lud u podnóża góry, błagając o kawałek dobroczynnego słońca, przy którem mogliby się ogrzać. Dostali jedynie trochę pieczonego mięsa, które im nie smakowało. Zmiarkowali jednak, że łatwiej je gryźć, niż surowe mięso, a nadto wywnioskowali, że jeżeli wielki cudowny ptak piecze mięso, to i oni powinni postępować podobnie. Ponowili więc swoje prośby o najdrobniejszą choćby cząstkę słońca. Ale wielki ptak szydził z nich tylko i pytał, czy chcą być sami usmażeni?

»Dzicy odeszli, a podówczas nie umieli budować jeszcze mieszkań. Podczas zimy kładli się pod gru-

bem drzewem, latem na wydmach piasczystych, podścielając trawę. Z pomocą przyszło im inne ptactwo. Gdy wielki ptak odleciał z wierzchołka góry po żywność, rozpościerając w powietrzu swe olbrzymie skrzydła jako dwie czarne chmury, ptactwo podleciało ku górze z kawałkiem drzewa, na które wzięło nieco żywego słońca (ognia). Gdy przynieśli je czarnym, ci ze zdumieniem spoglądali na owe kawałki słońca Śmielsi wzięli je do rąk, lecz sparzywszy się, rzucili przerażeni. Sama trawa, na której leżeli, zajęła się płomieniem, a pożar szerzył się w lesie. Postrach wziął wszystkich, nie wiedzieli, czego się mają obawiać, ani kędy uciekać. W popłochu dostrzegli, że kogokolwiek ogień dosięgnął, ten umierał i stawał się zupełnie czarnym. Myśleli, że nowe zwierzę, nie mając ani nóg, ani ust, ścigało ich i pożerało. Wielki ptak szybował nad nimi w powietrzu i szydził: czy wam podoba się, że się smażycie? Wielu ludzi, zwłaszcza dzieci, spaliło się, ogień tylko za tymi już nie poszedł, którzy przepłynęli rzekę. Te niedobitki stamtąd przyglądały się pożarowi. Wreszcie pozostały jedynie żarzące się węgle, świecące w ciemności, a to zwiększało obawę. Dopiero po paru dniach odważyli się przejść z powrotem rzekę i zwolna posuwali się dalej. Tu znaleźli ogień pod jednem spalonem drzewem. Po wielu próbach i strachach nauczyli się postępować z ogniem i zaznajomili się z jego dobroczynnymi przymiotami«.

Opowieść ta, jak i inne podobne, bardzo niedokładnie zaznajamia nas z tem, w jaki sposób ludzie po raz pierwszy dostali ogień do ręki. To tylko z tego możemy wywnioskować, że sami wytwarzać go nie umieli, lecz odrywali niejako cząstkę ognia od pożaru i utrzymywali przez czas dłuższy.

Upłynęły niezawodnie setki, a może tysiące lat, zanim ludzie nauczyli się zapomocą tarcia wydobywać ogień. Może być, że do tego wynalazku, jak do wielu wynalazków, doszli tylko przypadkowo.

W różnych miejscowościach — różne służyły przyrządy do wydobywania ognia, ale były one wszędzie złożone z dwu kawałków drzewa, niejednakowej trwałości. Niektórzy używali do tego świdra ręcznego, składającego się z kijka, podobnego do trzonka strzały, a ściętego na końcu. Wiercąc takim świdrem, po pewnym czasie wytwarzali proszek, który od gorąca poczynał się tlić. Inni przesuwali kij wzdłuż otworu i taksamo doprowadzali do zapalenia się wydobytego proszku.

Oczywiście takie wydobywanie ogna było nadzwyczaj uciążliwe, to też ogień ten był bardzo cenny, wskutek czego starano się zachować go jak najdłużej, aby sobie nowej pracy nie zadawać. Dlatego też zapewne w świątyniach pogańskich utrzymywano stale ogień, jako rzecz świętą.

Taki stan trwał bardzo długo, aż dopiero około 1840 roku wynaleziono zapałki, które tak pracę ułatwiają.

Obecnie mamy zapałki, lampy, świece, piece, kominy, nie mówiąc już o świetle gazowem i elektrycznem. Zżyliśmy się z temi wygodami, z temi zdobyczami cywilizacyi i nikt się nie zastanawia, jak doniosłe znaczenie ma ogień w życiu ludzkiem. Człowiek pierwotny przez zdobycie umiejętności posługiwania się ogniem mógł życie swe wygodniejszem uczynić. Gotowane jadło posilało go lepiej. Ogrzewało ognisko w mroźne dni zimowe; mógł człowiek przy nim dzień dłuższym uczynić. Bez ognia ludzie skazaniby byli, podobnie jak małpy, na zamieszkiwanie krajów tylko w ciepłym klimacie leżących. Gdyby nie ogień, ludzkość nie mogłaby mieć żelaza i innych metali, które w ogniu z rud się wytapiają.

Nagroda dla przyjaciół „Roli"

którą ogłosiliśmy w numerze 32, bardzo zaciekawiła naszych Czytelników i zachęciła do okazania redakcyi swego poparcia. Od wielu Czytelników otrzymujemy kartki i listy z zapowiedzią, że nam po pięciu nowych prenumeratorów całorocznych zjednają.

Kilku naszych Czytelników zapytuje nas, jaka jest treść tej *Książki do nabożeństwa dla starszych*. Do ich wiadomości podajemy tutaj dosłownie spis rzeczy, wydrukowany na ostatnich kartkach książki:

MODLITWY PORANNE: Modlitwa Pańska, Pozdrowienie Anielskie, Skład Apostolski, Dziesięcioro Bożego Przykazania, Pięć przykazań kościelnych, Anioł Pański, Modlitwa przed każdą sprawą.

MODLITWY WIECZORNE: Modlitwa do Pana Jezusa, św. Bernarda do Najświętszej Maryi Panny, Polecenie się św. Aniołowi Stróżowi.

NABOŻEŃSTWO NIEDZIELNE: Asperges, gdy kapłan kropi święconą wodą i w czasie Wielkanocnym.

MSZA ŚWIĘTA o Najśw. Maryi Pannie, o Najsł. Sercu Pana Jezusa, Modlitwy po Mszy świętej, Akty strzeliste, Modlitwy za Ojca świętego i za Kościół święty.

MSZA ŚWIĘTA ZA ZMARŁYCH, Modlitwy za dusze Zmarłych, Psalm: »Z głębokości wołałem«.

MODLITWY DO SPOWIEDZI I KOMUNII ŚW.: Modlitwa przed rachunkiem sumienia i po nim, Akt żalu, Spowiedź powszechna, Modlitwa po Spowiedzi, Modlitwa do św Maryi Magdaleny, Siedm psalmów pokutnych, Modlitwa przed i po Komunii św., Akty strzeliste po Komunii św., Modlitwa do Pana Jezusa Ukrzyżowanego.

LITANIA DO WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH, Psalm sześćdziesiąty dziewiąty i modlitwy.

LITANIA O NAJSŁ. SERCU PANA JEZUSA, Akt poświęcenia rodu ludzkiego Najśw. Sercu Jezusowemu.

LITANIA O NAJSŁ. IMIENIU JEZUS.

CZTERY EWANGELIE NA BOŻE CIAŁO.

GODZINKI O NIEP. POCZĘCIU N. MARYI PANNY, Modlitwa ułożona przez Ojca św. Piusa X.

RÓŻANIEC NAJŚW. MARYI PANNY: Część pierwsza (Radosna), druga (Bolesna), trzecia (Chwalebna); Modlitwa do św. Józefa po skończonym Różańcu.

LITANIA LORETAŃSKA O NAJŚW. PANNIE MARYI, Antyfona »Pod Twoją obronę«, Modlitwy do św. Józefa.

DROGA KRZYŻOWA, Modlitwa po dokończeniu Drogi.

GORZKIE ŻALE: Część pierwsza, druga i trzecia.

NIESZPORY NIEDZIELNE: Psalm 109 (Rzekł Pan do Pana mego), 110 (Całem Cię sercem), 111 (Szczęśliwy i nie zna kaźni), 112 (Chwalcie o dziatki), 113 (Kiedy z Egiptu), 116 (Boga naszego chwalcie), Hymn (Sprawco światła słonecznego), Pieśń Najśw. Maryi Panny (Magnificat).

NIESZPORY NA ŚWIĘTA MATKI BOSKIEJ: Psalm 121 (Ucieszyła mię wieść), 126 (Jeżeli domu sam Pan), 147 (Jerozolimo chwal Pana), Hymn (Witaj gwiazdo morska).

ANTYFONY: Matko Odkupiciela, Bądź pozdrowiona Królowo, Ciesz się Królowo, Salve Regina.

HYMNY NA ZNACZNIEJSZE ŚWIĘTA: Na zesłanie Ducha św., Na Boże Ciało (Sław języku), Na Trójcę Świętą (Już słońce schodzi).

PIEŚNI KOŚCIELNE: Przy wystawieniu Najśw. Sakramentu, Suplikacye, Przed schowaniem Najśw. Sakramentu, Te Deum laudamus (po polsku), Modlitwa.

PIEŚNI NA BOŻE NARODZENIE: Anioł pasterzom mówił, Bóg się rodzi, W żłobie leży.

PIEŚNI NA WIELKI POST: Jezu Chryste, Stała Matka boleściwa, Wisi na krzyżu, Dobra noc.

PIEŚNI NA WIELKANOC: Wesoły nam, Chrystus zmartwychwstan jest, Przez Twoje święte.

PIEŚNI NA BOŻE CIAŁO: U drzwi Twoich, Twoja cześć chwała, Bądźże pozdrowiona Hostyo żywa.

PIEŚNI DO NAJŚW. MARYI PANNY: Chwalcie łąki, Gwiazdo morza, Matko niebieskiego Pana, Serdeczna Matko, Ty której berła, Weź w Swą opiekę, Witaj Święta i Poczęta, Witaj Królowo nieba, Zawitaj Matko Różańca św.

PIEŚNI DO SERCA PANA JEZUSA: Witaj Krynico, Z tej biednej ziemi, Nazareński śliczny kwiecie.

PIEŚŃ DO ŚW. JÓZEFA (Szczęśliwy).

PIEŚNI PRZYGODNE: Kiedy ranne, Wszystkie nasze dzienne sprawy, Boże w dobroci, Do Ciebie Panie, Kto się w opiekę.

RÓŻNE PIEŚNI: Pieśń w każdem utrapieniu (Przed oczy Twoje), Pieśń w utrapieniu do Najśw. Maryi Panny, Pieśń pokutującego grzesznika, Pieśń za dusze zmarłych.

Książka jest oprawna w czarne płótno, ze złotym krzyżem, kolorowymi brzegami. Wraz z pudełeczkiem kosztuje w księgarni 2 korony.

DZIEJE DWÓCH SERC.



Twierdzą niektórzy, że siedliskiem miłości są pałace pozłociste, że serce żywiej bić może tylko w strojach koronek i szat drogich, że pod ubogą sukienką biednej dziewczyny wiejskiej serce to tylko część ciała, rozsyłająca po niem krew ożywczą. Twierdzą tak ci, co nie znają życia, nie znają ludzi....

Są tacy, którzy myślą, że oprócz nich, wybrańców losu, niema ludzi na świecie, którzyby czuć głębiej potrafili. Ludzie ci myślą i działają w myśl przysłowia: »Każda liszka swój ogon chwali«.

Znałem jednego kiepskiego szewca, któremu zdawało się, że jest najlepszym z pośród szewców; znałem jednego lichego autora, który sądził, że tylko on pisać potrafi; znałem ludzi bez serca, mniemających, że tylko oni serce posiadają.

A jednak......

A jednak miłość znaleźć można tam, gdzie najmniej spodziewać się jej można, serce znaleźć można nawet pod ubogą sukienką wiejskiej dziewczyny.

Można u niej znaleźć serce, choć może nie takie, jak u miejskich panien. Serce wiejskiej dziewczyny nie wybucha lawą uczuć ognistych, nie stroi się w barwy kwieciste, nie szuka tkanek pajęczych, ale, gdy pokocha, staje się całe samą miłością, w miłość się zmienia. I jest między sercem sztucznie ubranem w miłość, a sercem biednej wiejskiej dziewczyny ta różnica, że gdy z pierwszego miłość, niby strój, zdjąć i na później przechować można, to to drugie serce, zamienione samo w miłość, z niej odrzeć się nie da.

W taką miłość zamieniło się serce Hanusi Sołtysówny, córki biednej komornicy z Podlasia. Pokochała ona od lat dziecięcych również biednego Stacha, ledwo o trzy lata od siebie starszego. Miłością tą żyła, o miłości tej marzyła.

Wprawdzie Hanusia nie nazywała tego kochaniem, nie nazywała miłością, ale wiedziała i czuła to dobrze, że on jej był wszystkiem na świecie, że wolałaby, iżby w nią grom z jasnego nieba uderzył, aniżeli, żeby jego jaka przykrość spotkać mogła. Towarzystwo jego było jej najmilszem, głos jego najsłodszym.

I mijały szybko lata.

Stach wyrósł na tęgiego młodzieńca, Hanusia na dorodną dziewoję. Życie ich tak się składało, że czy wiosna, czy lato, a choćby nawet jesień nadeszła, oni byli prawie zawsze razem. Przyszły wiosenne roboty, to Hanusia i Stach stawali na jednym zagonie, kopali, plewili i nucili piosnki wesołe. Przy sianokosach, on klepał kosę i ścinał nią trawę, a ona z grabkami w ręku uwijała się po łące i suszyła zielone siano. I tak w każdej porze roku, w dniu każdym.

Jedna zima rozdzielała ich od siebie na czas dłuższy, ale i wtedy spotykali się to przy studni, biorąc wodę, to przy młocarni we dworze.

Zwykle mało ze sobą rozmawiali, ale myśli ich płynęły wspólnie, jak praca wspólną była. Najrozkoszniejsze dla nich były te chwile, gdy w wiejskim kościółku, przed obrazem Ukrzyżowanego, w czasie Mszy św. z piersi ich wypływała gorąca i szczera pieśń nabożna.

I mijały lata, aż ich minęło wiele.

Przyszedł czas, że Stach musiał iść do wojska, aby odsłużyć swą powinność. Pożegnał rodziców i rodzeństwo, pożegnał sąsiadów i Hanusię i ruszył w świat. Na pożegnanie rzekł jej tylko:

— Pamiętaj Hanuś o mnie, boś ty mi nad siostrę milejsza, nad szczęście cenniejsza!

Z temi słowy odjechał Stach, a Hanusia pozostała, jak sierota sama.

Życie jej poczęło odtąd przybierać inny wygląd: dawna wesołość i swoboda znikły, a przyszło zamyślenie i tęsknota. Robota szła jej trudniej, a zato modlitwa coraz goręcej z ust jej płynęła.

Przeszła jesień i zima, nadeszła wiosna. Po wsi gruchnęła wiadomość, dziwna wiadomość, że Walek, syn kmiecy, słał będzie swaty do Hanusi, córki biednej komornicy. Dla całego Podlasia wieść ta była nadzwyczajniejsza, niżby nią była wiadomość dla Krakowa, że kościół Panny Maryi się zawalił, lub dla Europy, że Prusy stały się państwem sprawiedliwości. Zatrzęsło się Podlasie, bo nie można sobie było wytłomaczyć, aby bogaty syn kmiecy chciał się żenić z córką biednej komornicy.

Ale powoli Podlasianie zaczęli się oswajać z tą myślą. Wszak w całem Podlasiu nie było ani ładniejszej, ani pracowitszej dziewczyny od Hanusi. Zaczęto rozważać i rozumować. Jak każda rzecz, z początku dziwna i nieprawdopodobna, rozważona rozumem staje się naturalną, tak i zamiary Walka stały się z czasem zupełnie naturalnymi. I owszem, poczęto się dziwić, że Walek tak późno o tem pomyślał. Ale nie dość tego! Znaleźli się i inni, którzy pragnęli Walka w jego zamiarach wyręczyć.

Bo z ludźmi, to jak z dziećmi. Niech gromadka chłopaków spotka na drodze psa, to gdy tylko jeden zacznie uciekać — wszyscy uciekną, gdy zaś pierwszy rzuci kamieniem, to posypią się one gradem na biedne zwierzę.

Walek, nie chcąc być uprzedzonym przez kogo innego, uprosił swego chrzestnego i udał się z nim do chatki Hanusinej.

Chrzestny Walka, stary Grzegorz, przybywszy w poseliny, przedstawił całą rzecz jasno i dokładnie, jakie to szczęście zrobi Hanusia, gdy z biedy przejdzie od razu do gospodarstwa i dostatku, a przy tem jeszcze i męża będzie mieć niczego. Matka Hanusi słuchała słów tych z rozradowaniem i uciechą, Hanusia zaś zupełnie obojętnie. Wtedy zwrócił się Grzegorz do Hanusi i począł ją o odpowiedź pytać.

— Napiszę do Stacha — odrzekło dziewczę — jak on mi każe, tak zrobię.

Łza spłynęła z matki lica. Poczęła córkę nakłaniać, lecz daremno. Starał się ją przekonać Grzegorz stary, prosił i błagał Walek, namawiali sąsiedzi, lecz bez skutku. Każdemu odpowiadała:

— Jak Stach poradzi, tak uczynię.

Nie czekała długo na odpowiedź Stacha. Otrzymała list krótki, w którym były tylko te słowa:

»Jesteś mi droższą od siostry rodnej, milszą mi jesteś niż świat cały! Nie chcę więc tamować szczęścia Twojego i radzę, jeżeli to będzie szczęściem Twojem, idź za Walka«.

Odczytała Hanusia list raz i drugi, uśmiech zajaśniał na jej licach i odpowiedziała Walkowi.... że ani jego, ani żadnego innegc żoną nie będzie.

Dziwili się ludzie, ruszali ramionami, ale na upór dziewczyny nie znali lekarstwa.

Mijały teraz dni i miesiące, aż przyszedł czas Stachowego powrotu z wojska. Pierwsza powitała go Hanusia u wrót domu rodzinnego.

Zaczęło się weselsze życie dla Hanusi, bo odzyskała swego umiłowanego towarzysza. Ale czuli to oboje, że los ich zmienić się musi, że miłość swoją małżeństwem utrwalić powinni. Ale rozumieli i to, że ta miłość, choćby ona niewiedzieć jak gorącą była, sama do życia nie wystarczy. Wskutek tego postanowili, że Stach wyjedzie do Ameryki, aby tam pracą zdobyć nieco grosza na zakupno trochy ziemi, a Hanusia będzie czekała jego powrotu.

I pojechał Stach zdobywać pracą rąk swoich upragnione szczęście, pojechał kuć kruszec twardy, łamać skały i myśleć o Hanusi, a ona została sama, jak biedna sierota....

Minął rok długi. Stach pisywał listy pełne rzewnej tęsknoty i obiecywał, że latem przyszle dla niej pieniędzy, aby corychlej do niego przyjechała. I rzeczywiście przysłał, ale sumę tak niewielką, że Hanusia za nią ledwo do morza dojechać mogła. Ale i to było dla niej radością. Nad morzem pójdzie w służbę, poczeka jakiś czas, a gdy otrzyma, lub zapracuje więcej pieniędzy, popłynie do Stacha.

Jak postanowiła, tak zrobiła. Nad morzem znalazła zajęcie u zacnej matrony, pracowała i czekała na wiadomość od Stacha.

Codziennie o zachodzie słońca szła nad morze, patrzyła długo w stronę, gdzie przebywał jej Stach i słała mu słowa miłości za pośrednictwem słońca.

Tak minęło kilka tygodni, w czasie których otrzymała dwa listy od Stacha, w których ten zapewniał, że z listem trzecim przyszle jej na podróż.

I niedługo przyszedł list trzeci, ale nie od Stacha, ale o Stachu. Towarzysz jego pracy, znający wszystkie myśli młodzieńca, donosił biednej Hanusi, że Stacha w kopalni przysypała ziemia....

* * *

Mógłbym tu skończyć dzieje dwóch serc, mógłbym pozostawić wyobraźni czytelnika dalsze dzieje Hanusi, ale nie zrobię tego, bo wiem, że każdy rodzaj czytelników inaczejby sobie je wytłomaczył.

Jedni — ludzie złośliwi — rzekliby, że Hanusia wróciła do wsi i tam wyszła za Walka, lub kogo innego; drudzy — obłudnicy — powiedzieliby, że zakupiła cały sklep czarnych materyi i żałobę swoją wystawiła ze serca na widok publiczny, jak szyld na sklepie; inni inneby zakończenie utworzyli.

Dalsze dzieje Hanusi były całkiem sobie proste, takie całkiem chłopskie. Ani łza z jej oka nie spadła, ani jęk z jej ust nie wypłynął.... Po przeczytaniu listu smutnego poszła nad morze, aby za pośrednictwem słońca posłać ukochanemu ostatnie pożegnanie i tam z żałości serce jej pękło....

Antoni St. Bassara.

Do wioski rodzinnej.

Czemżeś mię ty wiosko moja
Tak rozkochała dla siebie,
Jak matka syna;
Jak ta kochanka dziewoja,
Że mi żyć, ni śnić bez ciebie,
Wiosko jedyna!

Czemu wiosko ma rodzinna,
Gdym odchodził w świat szeroki
Za twe granice;
Jak za matką swą dziecina,
Czułem w sercu żal głęboki,
W sercu tesknicę.

Czemu obce miasta, kraje,
Ich wspaniałość i dostatki,
Cuda i dziwy
Nie cieszyły serce moje,
Do rodzinnej pragło chatki,
Rodzinnej niwy.

Boś ty mi wiosko ma patronka...
Mnie powiła, wypieściła
Twojego syna.
Bliżejś nieba, Boga, słonka,
Twoje chatki rozgościła,
Wiosko jedyna!

Jantek z Bugaja.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

PIORUN KAPITANA NEMO.

W salonie nie było nikogo; pozwoliłem sobie zapukać do drzwi prowadzących do kapitana. Wyraz »proszę« odpowiedział mi. Zastałem kapitana pogrążonego w jakimś rachunku.

— Czy przeszkadzam? — zapytałem grzecznie.

— Rzeczywiście, zajęty jestem, panie profesorze; ale zapewne ważne pobudki sprowadziły tu pana.

— Bardzo ważne. Łodzie krajowców otoczyły nas i zapewne za kilka minut najdzie nas kilkuset tych napastników.

— Aa! — rzekł spokojnie kapitan Nemo — to oni przybyli na swoich pirogach?

— Na pirogach.

— A więc trzeba zamknąć wejście.

— Ja też to chciałem powiedzieć.

— To bardzo łatwo — rzekł kapitan i nacisnął guzik elektryczny, mający ponieść rozkaz odpowiedni.

— To już i zrobiło się — rzekł po kilku chwilach. Nasza łódź jest w miejscu właściwem, a okna zamknięte. Przecież się pan nie obawiasz, aby ci panicze rozwalili ściany, którym nie mogły dać rady kule waszej fregaty.

— Tego się nie obawiam, kapitanie; ale jest inne niebezpieczeństwo.

— A jakie, panie Aronnax?

— Jutro o tej samej godzinie trzeba będzie otworzyć okna dla odświeżenia powietrza w »Nautilusie«.

— Ani słowa, skoro nasz statek oddycha jak ryba.

— Więc jeśli wówczas Papuanie będą na platformie, to nie wiem, jak pan wzbronisz im wejścia.

— To pan przypuszczasz, że wejdą na statek?

— Pewny jestem tego.

— A więc niech wejdą, na co im przeszkadzać. W gruncie są to biedacy ci Papuanie! i nie chcę, żeby moje nawiedzenie wyspy przyprawiło choć jednego z nich o stratę życia.

Powiedziawszy co miałem do powiedzenia, chciałem odejść; ale kapitan zatrzymał mnie i zaprosił, bym usiadł przy nim. Rozpytywał się o naszą na wyspę wycieczkę, o nasze polowanie, i nie okazywał tej potrzeby świeżego mięsa, jaka dokuczała Kanadyjczykowi. Rozmowa dotykała różnych przedmiotów, i choć kapitan nie pozbył się swej tajemniczości, jednak uprzejmiejszy był niż zwykle.

Między innymi mówiliśmy o obecnem położeniu »Nautilusa«, który uwiązł właśnie w tem samem miejscu, gdzie o mało nie zginął sławny podróżnik Dumont Urvil. Z tego powodu kapitan rzekł:

— Był to jeden z waszych najzdolniejszych żeglarzy. Nieszczęśliwy uczony! Ochroniwszy się od lodowisk podbiegunowych, od koralowych skał przy Oceanii, od ludożerców na oceanie Spokojnym, zginąć nędznie w pociągu drogi żelaznej... Jeśli ten człowiek mógł zebrać myśli w ostatnich chwilach swego życia, można sobie wyobrazić ich naturę.

Mówiąc to, kapitan Nemo zdawał się być wzruszony, co zalecało go w mem pojęciu.

Rozglądaliśmy na mapie drogi, któremi żeglarz ów francuski świat wokoło opływał, rozważaliśmy dwukrotne jego usiłowania zbliżenia się do bieguna południowego.

— Co wasz Urvil zrobił na powierzchni morza — mówił kapitan Nemo — to ja czynię wewnątrz oceanu, a łatwiej i kompletniej od niego. Jego okręty tłuczone ciągle huraganami, nie mogą być porównane z »Nautilusem«, w którym jest spokojny gabinet dla uczonego i stanowisko prawdziwe wśród wód.

— A jednak — odparłem — jest niejakie podobieństwo pomiędzy korwetami Urvilla i pańskim statkiem.

— A to jakie, panie Aronnax?

— Bo i »Nautilus« osiadł na mieliźnie.

— Nie osiadł na mieliźnie, panie profesorze — odrzekł zimno kapitan — bo »Nautilus« jest do tego, żeby osiadał na dnie morskiem, a ja nie podejmę prac niesłychanych i wysileń, jakie podjąć musiał Urvill, aby spłynąć na wodę. Jego okręty o mało co nie zginęły, mój nie jest nawet zagrożony. Jutro więc, w dniu naprzód wskazanym, w godzinie oznaczonej, przypływ wody podniesie nas nieznacznie i znów puścimy się na żeglugę przez morza.

— Ani wątpisz kapitanie...

— Tak, jutro — dodał kapitan, powstając — jutro o godzinie drugiej, minucie 40 tej z południa, »Nautilus« spłynie bez uszkodzenia i opuści cieśninę.

Wyrzekłszy te słowa sucho, ukłonił mi się kapitan lekko, co znaczyło, że mam odejść; poszedłem do mej kajuty. Zastałem tam Konsela, ciekawego mej rozmowy z kapitanem.

— Mój kochany — powiedziałem mu — kapitan bardzo lekko przyjął moje zawiadomienie, że »Nautilus« jest niejako zagrożony przez dzikich. Cóż ci więc mam powiedzieć? Zaufaj mu i idź spać.

— Nie potrzebują czego odemnie?

— Nic nie potrzebuję. A co robi Ned-Land?

— Ned-Land robi pasztet z kangura, i powiada, że to będzie wyborne.

Zostawszy sam, położyłem się, ale nie spałem jak należy. Słyszałem kroki dzikich na pokładzie



... odrzucony został nie wiem jaką siłą....

i ich ogłuszające krzyki. Tak przeszła noc, bo osada ani się ruszyła. Tyle ją obchodzili ludożercy, co obchodzą fortecę dobrze uzbrojoną mrówki chodzące po jej murach.

Wstałem o szóstej. Okrętu nie otworzono, więc powietrze świeże nie weszło do wnętrza; ale rezerwoary napełnione niem na wszelki wypadek, i zasiliły ogołoconego z niego »Nautilusa«. Pozostałem u siebie aż do południa, nie widząc wcale kapitana Nemo. Nie zdawało się, żeby na statku czyniono jakie przygotowania do podróży.

Poczekawszy jeszcze trochę, udałem się do salonu. Zegar wskazywał pół do trzeciej, więc za dziesięć minut woda powinna się podnieść do najwyższej swej wysokości, i jeśli kapitan nie zanadto zuchwale obiecywał spłynięcie statku, to »Nautilus« wyswobodzi się. Inaczej całe miesiące może być uwięziony w swem łożu koralowem.

Dało się jednak już uczuć kilka drgnięć w szkielecie statku, niby przepowiednia tego co nastąpi. Pięć minut po pół do trzeciej, zjawił się w salonie kapitan Nemo.

— Zabieramy się do drogi — rzekł.

— Ach! — wykrzyknąłem lekko.

— Kazałem otworzyć wejście na pokład.

— A Papuanie?

— Papuanie? — odpowiedział kapitan, wzruszając nieco ramionami.

— Gotowi wejść do wnętrza statku.

— A to jak?

— Przez wejście, które pan każesz otwierać.

— Panie Aronnax, niekoniecznie można wejść do »Nautilusa«, choć otwory nie są zamknięte.

Wytrzeszczyłem oczy na kapitana.

— Pan mnie nie rozumie? — zapytał.

— Nie rozumię — odpowiedziałem.

— No, to pan zobaczysz.

Poszedłem ku głównym schodom. Już tam byli Konsel i Ned-Land i przyglądali się ciekawie, co to będzie, gdy wejście zostanie otwarte; z zewnątrz słychać było wrzaski przeraźliwe i nawoływania.

Gdy odsunięto pokrywy, pokazało się ze dwadzieścia strasznych postaci. Ale zaraz pierwszy krajowiec, który położył rękę na poręczy schodów, odrzucony został nie wiem jaką siłą i uciekł, krzycząc w niebogłosy, wyłamując się w kształty potworne. Dziesięciu, którzy wejść próbowali, to samo się stało.

Konsel był zachwycony. Gwałtowniejszej natury Ned-Land nie mógł wytrzymać na miejscu i rzucił się ku schodom. Ale gdy schwycił się poręczy, wywróciło go coś natychmiast.

— Do tysiąca szatanów! — zawołał, piorun we mnie uderzył!

Te jego wyrazy objaśniły mi wszystko. To już nie była poręcz, ale sztaba metalowa naelektryzowana; kto się jej dotknął, musiał doznać strasznego wstrząśnienia — a byłoby ono śmiertelne, gdyby był kapitan Nemo puścił cały swój strumień elektryczności. Śmiało można było powiedzieć, że kapitan odgrodził się od napastników... elektrycznością.

Przerażeni Papuanie umknęli, a my śmiejąc się na pół, uspokajaliśmy i tarli biednego Ned-Landa, klnącego jak potępieniec.

Tymczasem »Nautilus« wzniesiony ostatniemi przybywającemi falami, wzniósł się za swego koralowego łoża, właśnie o czterdziestej minucie na trzecią, jak kapitan zapowiedział. Śruba uderzała wodę ze wspaniałą powagą. Szybkość statku zwiększała się stopniowo, i płynąc po powierzchni wód, opuścił nieuszkodzony niebezpieczne mielizny cieśniny Torreadzkiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Opowiadali wkiejsi gospodarz różne gadki o rozmaitych ludziach i panach, ale się mi zadna tak nie spodobała, jak ta historya o dziecku i Panu Jezusie.

A było to tak:

Dawno już temu, bardzo dawno, będzie z pięćdziesiąt roków, abo i więcej, kiedy to Pon Jezus jesce chodził po świecie, zyła w nasy wsi jedna macocha, która miała pasierbicę. Sama macocha zyła se galanto, jakby plebańska gospodyni, a pasierbicy robiła ogromną kzywdę. Cy dysc, cy wichura, gnała ją do lasu, to po gałązki, to po pościl, to po inse przyjemności.

Pewnego lata, a było to wcas rano, koło dziesiątej, wygnała ta macocha swoją pasierbicę do lasa po gałęzie — bez śniadania.

Posło dzieusysko, smyrdało i smyrdało po lesie, az nasmyrdało całe brzemię gałęzi. Uciesyło się okrutnie, ze przecie powróci do chałupy i dostanie śniadanie.

Zarzuciła więc brzemię na siebie i sła a sła štync drogi, to jest niby wielgi kawałek. Zdawało się jej, ze juz dawno powinna była zajść do chałpy, a tu ani kraju lasu nie widać.

Zasumowało się dzieusysko, co to będzie, jak przyjdzie do chałpy. Ani śniadania nie będzie, a jesce i powróz znajdzie się w obrotach. Miwata takie frajdy nie zadko.

O, bo macocha gorsiejsa la siroty, jak baba la chłopa! Baba choć ta chłopa casem zarnówką przejedzie, ale jak się jej na kochanie zbierze, to i jajeśnicy usmazy i świński ogon do kapusty wrzuci; ale macocha la pasierbicy to ino powróz a wyzwiska ma.

Idzie tak tedy ona sieroteńka, a łzy jej jak kluski, z ocu padają; idzie i wzdycha a końca swego strapienia nie widzi. Chyba jej przyjdzie zamrzyć w tym ciemnym lesie z głodu i strapienia.

Aż tu nagle spotyka Pana Jezusa w postaci złocistego Anioła, który tak powiada:

— A cego ty płaces dzieucho?

— Oj złociuski Janiele! — ona Mu na to — jak nie mam płakać, kiedym zbłądziła, głodnam okrutecnie i boję się macochy.

A Poniejezus ji na to:

— Nie płac mała, nie płac, łzy twe przemieniam w cyrwone poziomki, któremi głód zasycis i zywić się będzies niemi całe zycie, nie potrzebując wracać do chałpy!

I od tego casu w lasach pełno poziomek, aby bidny naród miał co jeść i sprzedawać, niby na pamiontkę krwawych łez sierocych.

Tak to opowiadali gospodarz, mnie się to bardzo podobało, ale nie wiem cy to prawda, bo skądby oni od tak dawna pamiętali?

Z TYGODNIA.

Nie będzie zebrań kontrolnych. Ministerstwo wojny i obrony krajowej wydało rozporządzenie, aby w tym roku nie odbywano zebrań kontrolnych rezerwistów. Natomiast ma się pouczać dokładnie żołnierzy, mających pójść na stały urlop i powołanych do ćwiczeń z bronią, przed przejściem w stan nieczynny, o obowiązkach, jakie na nich spoczywają w tym stanie.

Morderstwo w Krakowie. W przeszłym tygodniu popełniono w biały dzień, u stóp kościoła Najśw. Maryi Panny morderstwo, które wszystkich zgrozą przejęło. Niejaki Trudnowski z Warszawy, czeladnik ślusarski bez zajęcia, wydobył rewolwer i strzelił trzy razy do przechodzącego Stanisława Rybaka, także młodego człowieka, i zabił go na miejscu. Rybak był urzędnikiem Towarzystwa Szkoły Ludowej w Krakowie i zarządzał rozsyłką książek do czytelń ludowych po wsiach. Aresztowany Trudnowski opowiadał, że zabił Rybaka, ponieważ jakiś komitet warszawskich robotników odkrył, że Rybak był szpiegiem policyi rosyjskiej, przez którego wielu robotników popadło w nieszczęście, i że za to skazał ów komitet Rybaka na śmierć a Trudnowskiemu polecił wykonanie wyroku. Wkrótce się jednak okazało, że chyba to jest nieprawda, bo Rybak z chorą żoną i dzieckiem żył jak nędzarz, a policya rosyjska szpiegom swoim płaci setki i tysiące koron miesięcznie. Powtóre nie znaleziono nigdzie ani jednej karteczki, któraby dowodziła, że Rybak zbierał jakie wiadomości. Wkońcu zarząd Towarzystwa Szkoły ludowej wydał świadectwo, że Rybak był zawsze porządnym, wzorowym urzędnikiem. Wynikałoby z tego, że ten ów komitet skorzystał z tego, że Trudnowski jest człowiekiem młodym, nie bardzo mądrym a zapalczywym, i wmówiwszy weń, że Rybak jest człowiekiem niebezpiecznym, namówił do morderstwa. Jednakowoż, choćby nawet Rybak był szpiegiem, żaden komitet, taki czy owaki, nie ma prawa wydawać wyroków śmierci, bo nie jest sądem. Takiego wyroku nie wolno wykonywać, a kto go wykonywa, ten sprzeciwia się piątemu przykazaniu Boskiemu: »Nie zabijaj!«

W tym sensie piszą wszystkie gazety w kraju, które wypraszają sobie, aby tu w Galicyi rozmaite komitety socyalistyczne czy wszechpolskie przenosiły bandycko-mordercze zwyczaje warszawskie.

„Opatrznością“ nazwało się pewne towarzystwo krakowskie, nibyto opiekujące się wychodźcami do Ameryki, a poprawdzie robiące na nich interesy. Przed tygodniem »przyszła kreska na Matyska«. Krakowskie władze policyjne dokonały rewizyi, która zaraz okazała, że prawdą było to, co sobie ludzie oddawna mówili o tej »Opatrzności«. Jeszcze ubiegłej zimy policya była zmuszona zawiesić urzędowanie »Opatrzności« z powodu licznych przestępstw i działalności niezgodnej z przepisami statutu, a namiestnictwo zarządziło jej zamknięcie. »Opatrzność« wygotowała wtedy nowy projekt statutu, który uzyskał zatwierdzenie ministerstwa. W ten sposób »Opatrzność uzyskała nowe warunki bytu. Stare grzechy jednak odżyły i wystąpiły z jeszcze większą siłą. »Opatrzność« ufna w opiekę ministerstwa, nabrała pewności siebie i weszła już na otwartą drogę. Ostatnia rewizya udowodniła po raz drugi, że »Opatrzność«, która według statutu ma być dobroczynnem Towarzystwem, w rzeczywistości jest przedsiębiorstwem, obliczonem na zysk wielki i łatwy. Skonfiskowano mnóstwo papierów i dokumentów, jak najbardziej niekorzystnych dla »Opatrzności«. Okazało się, że będąc w łączności z rozmaitemi przewozowemi towarzystwami okrętowemi niemieckiemi, mimo braku koncesyi, sprzedawała karty okrętowe. Chcąc ominąć przepis ustawy, zabraniający surowo sprzedaży tych biletów, chyba za osobnem pozwoleniem i pod kontrolą, uciekała się »Opatrzność« do różnych fortelów. Żądała n. p. od emigrantów, jadących do Ameryki, uiszczenia całej należytości za kartę okrętową, rzadziej zadatkowania, wystawiając w zamian odpowiednie poświadczenie. Wychodźca za okazaniem takiego poświadczenia lub ewentualną dopłatą, otrzymywał w Bremie lub Hamburgu od wskazanego towarzystwa okrętowego kartę okrętową, od której »Opatrzność zapewne brała prowizyę. Takich poświadczeń miano skonfiskować około półtora tysiąca sztuk. Cygaństwo to pozwalało mówić »Opatrzności«, że biletów okrętowych »nie sprzedaje«. »Opatrzność« nadto utrzymywała około 60 ajentów, zwanych pięknie »opiekunami« wychodźców i »kierownikami« biur, których zadaniem było napędzać jak najwięcej emigrantów do Ameryki. Jak udowadniają skonfiskowane dokumenta, naganiacze ci pobierali od każdej emigrującej ofiary po 6, 7 i 8 koron. No i kończy się z tą »Opatrznością«, od której broń Panie Boże ludzi!

Śledztwo przeciw ruskim akademikom o napad na kancelaryę rektora i strzelaninę w uniwersytecie, zostało ukończone, a prokurator przystąpił do wystosowania aktu oskarżenia. Jak słychać, akademicy oskarżeni będą o gwałt publiczny, złośliwe uszkodzenie cudzej własności i ciężkie uszkodzenie ciała. Ponieważ adwokaci oskarżonych wnieśli prośbę o wyznaczenie pozakrajowego sądu, akta odejdą do najwyższego trybunału, który rozstrzygnie, gdzie Rusini mają być sądzeni.

Rząd węgierski postanowił zaciągnąć pożyczkę na cele państwowe w kwocie 560 milionów koron. Pewna część tej pożyczki zużytą zostanie na cele wojenne.

Zamek cesarski w Poznaniu. Przed kilku laty zaczęto budować w Poznaniu wielki pałac dla cesarza niemieckiego, a króla pruskiego zarazem, na znak widomy jego panowania nad ziemią wielkopolską. Obecnie, w najbliższym tygodniu, po dokończeniu budowy pałacu, ma się odbyć uroczyste jego otwarcie, na które ma zjechać sam cesarz. Z Polaków zaproszono tylko kilkunastu naszych polskich obywateli, zresztą samych Niemców. W gazetach podniesiono więc pytanie, czy owi zaproszeni Polacy powinni być gośćmi cesarza, czy nie. Zdaje się, że przeważy zdanie, aby cesarza nie drażnić, i że Polacy pójdą na zamek i będą tam opowiadć cesarzowi o ucisku i niesprawiedliwościach ze strony urzędników pruskich.

Wielkie manewry angielskie. Rząd angielski urządził ćwiczenia wojskowe, ażeby się przekonać, czy zdobycie Anglii, oddzielonej morzem od reszty Europy, przez obce mocarstwo jest możliwem. Otóż ćwiczenia tak urządzono, że do kraju wtargnęło pomimo silnej i czujnej straży okrętów angielskich, 10.000 nieprzyjacielskiego żołnierza przez pięć portów angielskich. Kraju broni marynarka i regularna armia, oraz kilka dywizyj armii tak zwanej terytoryalnej, przeznaczonej do obrony zamorskich krajów, należących do Anglii. Pod miastem Kent nastąpiła walka i tam wojska angielskie zostały pobite. Obecnie zbliżają się obce wojska do miasta Kanterbury, gdzie odbędzie się rozstrzygająca bitwa. Te ćwiczenia mają narodowi angielskiemu wykazać niebezpieczeństwo, zagrażające mu od obcego najazdu i udowodnić konieczność zaprowadzenia przymusowej służby wojskowej, gdyż dotychczas w Anglii jej niema.

KRONIKA.

Śmierć w Tatrach. Wypadki w wielkich górach są dość częste, bo ludzie z miast, dla użycia świeżego powietrza i podziwiania pięknych widoków chętnie ponoszą trudy i narażają się na największe niebezpieczeństwa w trudnych przejściach skalistych. Wypadki śmierci są rzadsze, częstsze są pokaleczenia. W ostatnim tygodniu w Tatrach poniosło śmierć aż dwóch ludzi. Do wielkiej i dzikiej doliny Jaworowej wybrało się dwóch akademików lwowskich. Nazajutrz nocą wrócił jeden, Jarzyna, do Zakopanego i opowiedział, że razem z kolegą, Szulakiewiczem, spadli ze skały. On zdołał wrócić po pomoc, Szulakiewicza zaś, który był mocno potłuczony, i chodzić nie mógł, przywiązał do skały i zostawił. Zaraz pospieszono z pomocą, wysłano z Zakopanego w dwóch dniach cztery wyprawy ratunkowe po kilkunastu ludzi, i wreszcie znaleziono Szulakiewicza, ale umarłego z głodu i zimna, bo śnieg padał tam przez trzy dni i trzy noce. Do pierwszej wyprawy należał także Klimek Bachleda, sławny przewodnik gości po górach tatrzańskich, znany ze zręczności w chodzeniu po górach i ze śmiałości. Gdy wyprawy ratunkowe zaczęły powracać a Klimka nie było, zaczęto z kolei wysyłać wyprawy, aby jego odszukać. Żadnej z wypraw to się nie udało i ponieważ minął już tydzień a Bachledy nie było ani śladu, nabrano pewności, że uległ on wypadkowi, spadł ze skały. Smutne te obawy sprawdziły się; dopiero po dziesięciodniowem szukaniu znaleziono go u stóp 200-metrowej skały, z której spadł. Głowę miał potrzaskaną, prawie oderwaną od karku. Poniósł śmierć śmierć bohaterską, ratując bliźniego swego w nieszczęściu.

Rażone piorunem. Pomimo rozmaitych ostrzeżeń, jakie ludzie rozumniejsi dają, o zachowaniu się podczas burzy, wielu jeszcze na nic nie zważa, ale czyni wprost przeciwnie, narażając się przez to nieraz na śmierć. Znanem jest powszechnie ostrzeżenie, aby w czasie burzy nie stawać pod wysokiemi drzewami, gdyż piorun uderza zwykle w najwyższe miejsca.

Zapewne ostrzeżenia tego nie znały, albo go nie posłuchały Jadwiga Korzonkówna i Tekla Żabianka z Szymkówki. Gdy wracały w zeszłym tygodniu z pracy w polu do domu na obiad, zerwała się straszna burza z błyskawicami i piorunami, podczas której począł lać deszcz, jak z cebra.



Dziewczęta, bojąc się przemoknięcia, schroniły się pod przydrożne drzewa. Zaledwie tam jednak stanęły, błyskawica przedarła ciemne chmury, runął grom w drzewo a z niego przeszedł na Korzonkównę, kładąc ją trupem na miejscu. Mało lepiej wyszła i Żabianka, gdyż piorun poraził ją tak, że przywieziona do domu, w parę godzin zakończyła życie.

Nowe marki listowe. W celu uczczenia ośmdziesiątej rocznicy urodzin cesarza, która przypada 18 bieżącego miesiąca, zarządziło ministerswo handlu wydanie marek listowych od 1 hal. do 10 kor., w nieco odmiennem wykonaniu.

Marki te będą na górnym i dolnym brzegu o 4 milimetry przedłużone, w środku górnego przedłużenia będzie umieszczony rok 1830, w środku zaś dolnego przedłużenia rok 1910; przestrzeń na prawo i na lewo od tych liczb wypełnią rozmaite rysunki.

Marki będą wydane dnia 18 sierpnia, sprzedaż zaś ich odbywać się będzie w tym samym dniu i w dniach następnych aż do wyczerpania.

Walka mordercza przy żniwie. Na polu dworskiem pod Nyireghaza na Węgrzech, pracowało około 40 robotników polskich z Galicyi. Już oddawna patrzyli na nich krzywem okiem miejscowi włościanie, Węgrzy, którzy wprawdzie sami nie chcieli pracować na dworskiem, ale, jak to bywa często u ludzi złych, nie mogli bez zazdrości patrzeć, że pracowity ludek polski z daleka przybyły, w pocie czoła zarabia kilka koron tygodniowo.



Węgrami przewodził pewien cygan, osiadły wprawdzie (choć cyganie nie lubią zagrzać miejsca), ale wielki nicpoń i próżniak. Z początku zaczął głośno przygadywać »przybłędom« z Galicyi a potakiwali mu inni madziarowie. Ale nasi Polacy nic sobie z tego nie robili a choć się domyślali, że to na nich ostrzy sobie zęby czarny dzikus, przecie nie zwracali na to uwagi, bo nie rozumieli, co szwargoce. Ale cygan widząc, że słowami nic nie pomoże, wszczął zwadę z jednym z parobków polskich o to niby, że mu przeszkadza wodę czerpać ze studni polnej. Na to, jakby na dany znak, rzuciły się Węgry na naszych i zaczęli ich bić kijami, pięściami, kamieniami. Z początku nie spodziewający się niczego Polacy ulegli, ale potem, przyprowadzeni do ostateczności, zebrali się na siłach i zaczęli w obronie swojej i dziewuch także pracujących, odpędzać napastników. Skończyło się na tem, że nasi, choć ich było mniej, poturbowali Węgrzynków a najbardziej cygana. Pewnie im się odechce na drugi raz zaczepiać spokojnych ludzi.

Śmierć w płomieniach. Na przedmieściu stanisławowskiem Knihinin-Górka, córka kupca Jakóba Rubingera, zeszła na polecenie ojca do piwnicy, by napełniać butelki winem. Niespodzianie od świecy zajęła się stojąca obok beczka ze spirytusem. Dziewczyna zamiast wołać pomocy, poczęła sama ogień gasić, przyczem zajęły się na niej suknie. Gdy na krzyk jej nadbiegli domownicy, zastali jeno zwęglone zwłoki.

Znaleziony skarb. Piotr Dąbrowski, włościanin wsi Łąkoć, w pow. puławskim w Królestwie, orząc w polu, wyorał garnek zawierający 258 sztuk starych srebrnych monet polskich, pochodzących z pierwszej połowy XVII wieku. Monety, jako starożytne, władze policyjne odesłały do cesarskiej komisyi archeologicznej w Petersburgu.

Okrucieństwa żebraków. Pomiędzy rzeczywiście biednymi żebrakami znajdują się i łotry, którzy na najmniejszą litość nie zasługują. Tacy łotrzykowie rozgospodarowali się w Krasnobrodzie w guberni lubelskiej.

Przed dwoma laty podczas jarmarku dorocznego zginęła dziewczynka 7 letnia. Przed kilku dniami matka jej, znowu podczas jarmarku, przechodząc obok kościoła, dała jałmużnę ślepej dziewczynce, mówiąc:

— Módl się za duszę mojego dziecka, które zginęło przed dwoma laty na jarmarku tutaj, a które już zapewne nie żyje.

Dziecko usłyszawszy to, zawołało:

— Mamo, to ja jestem twoją córką.

Matka z początku jej nie poznała, lecz potem córka dała rozmaite dowody, wymieniając ważne sprawy domowe i opowiadając, że żebracy wykłuli jej oczy gorącymi drutami i powrozami wykręcali jej ręce, które straciły kształt pierwotny. Zawezwana policya aresztowała wszystkich obecnych na jarmarku żebraków, w liczbie około 70 osób. Dziewczynka opowiadała także o dwóch chłopcach, których ukradła banda żebraków. Chłopców odszukano i odesłano do rodziców. Rozpoczęto też śledztwo w celu wykrycia żebraków, którzy oprowadzali dziewczynkę po jarmarkach, zabierając jej wieczorem datki, otrzymane od litościwych przechodniów.

Pastwienie się. Że pijatyka do niczego dobrego nie prowadzi, to dawno wiadomo. Jest ona nieszczęściem dla pijącego, a często i innych do nieszczęścia prowadzi. Dowodem tego następujący wypadek, jaki zdarzył się w Dąbrowie, w Królestwie polskiem. W składzie piwa uraczało się kilku młodych ludzi. Jeden z nich wyszedł przed dom i usnął na ławce. Koledzy jego będąc również w stanie nietrzeźwym, urządzili sobie widowisko.

Rozebrali oni kolegę i stojącego przywiązali do płotu. Właścicielka chciała go odwiązać, lecz wstydziła się i uciekła. Mieszkańcy okoliczni słyszeli przez całą noc jęki, ale z powodu ciemności bali się wyjść z domów. Dopiero o godzinie 5 rano robotnicy, idący do pracy, zobaczyli ofiarę pijaków przywiązaną w okrutny sposób, prawie nieprzytomną; rozwiązali ją i zanieśli do domu w stanie nieprzytomnym. Po trzeźwemu musieli pijacy żałować swego czynu, ale cóż ze żalu, gdy złego naprawić już nie można?

Cholera zaczyna przybierać w głębi Rosyi zatrważające rozmiary. Miejscami zginęła przez nią prawie połowa robotników fabrycznych i po kopalniach. Wśród robotników szerzy się popłoch. Uciekają na wszystkie strony i cholerę jeno tem bardziej szerzą. Z kopalń południowej Rosyi pouciekali prawie wszyscy robotnicy. Dla braku węgla będą musiały fabryki na pewien przeciąg czasu poniechać zajęcia. W Królestwie Polskiem cholery dotychczas niema, ale jest w sąsiadujących z Galicyą od wschodu guberniach. Były nawet w Galicyi zasłabnięcia podejrzane o cholerę, ale na szczęście okazały się zwykłemi chorobami żołądka.

W zeszłym tygodniu naczelnik powiatu na Wołyniu, i sędzia włościański, zabrawszy z sobą lekarza ziemskiego udali się do wsi Chotinówki, uważanej za główne ognisko cholery w powiecie. Po przybyciu na miejsce okazało się, że delegowany przez doktora do Chotinówki felczer Helczyn, przestraszywszy się epidemii, zbiegł, leczeniem zaś ludności zajmują się dwaj strażnicy, pozostawieni tu przez komisarza policyi w celu »pilnowania, aby ludność nie uciekała ze wsi i nie roznosiła zarazy«. Chorzy pozostawieni przez krewnych, którzy, pomimo czujności strażników, pouciekali ze wsi, leżeli na ziemi w szopach, stodołach i ciemnych komurkach i umierali bez żadnej pomocy. Niektórych znaleziono w śmiertelnych kurczach. Przed swą ucieczką felczer podawał chorym lekarstwo zdaleka na kiju. Lekarz również nie chciał wchodzić do domów, gdzie byli chorzy. Raz jeden tylko na prośbę urzędnika, stanął on na progu chaty, gdzie leżał chory i stąd kazał mu pokazać język. To się nazywa — »walka z cholerą«!...

Zemsta bociana. Ciekawe zdarzenie opisują gazety rosyjskie. We wsi Miużyn w gubernii moskiewskiej, na chacie włościanina Kornieja uwiły sobie gniazdo bociany. Korniej nie lubił tych ptaków, ujrzawszy więc gniazdo bocianów, postanowił bociana wypędzić. Wszedł na dach, spłoszył ptaka, który siedział na jajach, wyrzucił je z gniazda, poczem gniazdo zrujnował. Dokonawszy tego, chłopek uspokoił się nieco.

Po dwóch dniach Korniej, zjadłszy obiad, położył się w pobliżu chaty na murawie. Pomimo upału spał twardo. Nagle zbudził go jakiś syk. Spojrzał i w mgnieniu oka zerwał się na nogi. W pobliżu miejsca, na którem leżał, znajdował się wąż wyprężony, gotowy do rzucenia się na niego. Korniej pochwycił kapotę, którą miał pod głową i rzucił na węża, poczem zabił go kamieniem.



Zaledwie to uczynił, wszedł do izby, gdy usłyszał brzęk stłuczonej szyby w oknie. Obejrzał się; w oknie zobaczył głowę bociana, który w długim swym dzióbie trzymał wijącego się gada. Bocian wypuścił węża, który dokonawszy kilku skrętów, wyprężył się, podnosząc łeb do góry. Przerażony włościanin krzyknął i wybiegł z izby na pole.

Przez cały tydzień Korniej spał w innej izbie, nawet nie zaglądając do tej, w której bocian wybił szybę. Wreszcie zdecydował się zajrzeć tam i odskoczył z przestrachu. W izbie kotłowało się od wężów! Chłop zawiadomił sąsiadów, którzy, przyodziawszy długie kapoty i skórzane owczarskie spodnie, uzbroiwszy się nadto w kłonice, rozpoczęli walkę z wężami. Oczywiście wszystkie pozabijano. Korniej wszakże wpadł w jakiś dziwny strach i odtąd na widok każdego bociana drży cały jak w febrze.

Wielki pożar nawiedził wystawę międzynarodową w Brukseli, stolicy Belgii. W zeszłą niedzielę w nocy o godzinie 9, z niewiadomego powodu, wybuchł pożar w oddziale belgijskim i w przeciągu paru godzin zniszczył ten oddział. Oprócz tego najbogatszy angielski także całkowitemu uległ zniszczeniu, kilka innych jest uszkodzonych albo przez ogień albo przez wodę przy gaszeniu. Szkody wynoszą kilkaset milionów koron, z tego wiele było nieubezpieczonych.

Katastrofa kolejowa spotkała pociąg wycieczkowy pod Paryżem w ubiegłą niedzielę. Zabitych na miejscu 36 osób, ranionych do stu.

Upadek do jeziora. Miał szczęście pewien śmiały cyrkowiec, który przed dziesięciu dniami postanowił zadziwić ludzi nadzwyczajną sztuką. Mianowicie przygotował on sobie balon, ale pod spodem zamiast zwykłego koszyka balonowego, dla siedzenia w nim, uwiązał na dwóch zwisających sznurach drążek i tak wzbił się w powietrze, wywracając kozły.



Działo się to nad jeziorem genewskiem w Szwajcaryi południowej, które jest tak wielkie jak małe morze. Z początku szło wszystko dobrze i tysiące ludzi zgromadzonych na brzegu i na parowcach na jeziorze podziwiało zręczność śmiałka. Nagle jednak w chwili, gdy cyrkowiec stał, nie trzymając się sznurów, na drążku, fala silnego wiatru uderzyła o balon, który skoczył, a sztukmistrz runął głową na dół do wody z wysokości paruset metrów. Parowce i łodzie rzuciły się w tamtą stronę, aby zobeczyć, co się dzieje: wszyscy myśleli, że na powierzchnię wypłynie trup zmiażdżonego o powierzchnię wody człowieka. Któż opisze zdumienie wszystkich a zarazem zadowolenie, gdy ujrzeli wypływającego zdrowo.

Okazało się, że wywracając koziołki w powietrzu wpadł do wody tak szczęśliwie, że wsunął się w wodę głową i poszedł bardzo głęboko do dna jeziora, ale nic mu się nie stało. Umiejąc dobrze pływać, nie opił się wody i wydostał się na powierzchnię. Gdyby był upadł na płask, plecami lub brzuchem, byłoby po nim.

Milion za życie dziecka. Przypadek znaczy nieraz w życiu ludzkiem wiele. Jedna chwila może ubogiemu człowiekowi przynieść majątek. Oczywiście, jak powiada przysłowie »smażone gołąbki nikomu nie idą same do gąbki«; trzeba przypadkowi od siebie coś dopomódz, okazać uczciwość, dzielność, dobre chęci itd. Tak zrobił niedawno w Ameryce północnej niejaki Frank Strome, który z narażeniem życia uratował dziecko od śmierci i został bogaczem.



Na małej stacyjce w stanie Texas w Stanach Zjednoczonych, kilkunastu ludzi czekało na pociąg. Między nimi znajdowała się służąca bogatego farmera, czyli właściciela folwarku, która przyjechała, aby powitać przybywającą z daleka matkę. Razem ze sobą wzięła czteroletnią dziewczynkę, córkę farmera, powierzoną jej opiece. Uradowana, że się zobaczy z matką, której nie widziała od paru lat, służąca opowiadała o swej radości którejś ze znajomych, stojącej także przed stacyą i nie zauważyła, że dziecko poszło z miejsca i stanęło na szynach kolejowych. Wtem na zakręcie ukazał się szumiący parą pociąg. Ktoś spojrzał na szyny i wydał głośny okrzyk przerażenia. Nie ulegało wątpliwości, że dziecko ulegnie strasznej śmierci, gdyż maszyna była już tuż, tuż. Ale wtem przed pociąg rzucił się jakiś biednie, obdarto ubrany człowiek, chwycił dziecko wpół i odskoczył z niem na bok w ostatniej chwili, gdy maszyna już go prawie dotykała. Gdyby się był spóźnił o mgnienie oka, byłoby i po nim i po dziecku.

Ubogi człowiek dokonawszy tego czynu chrześcijańskiego, nie upominając się o nagrodę, poszedł dalej w swoją drogę, którą odbywał piechotą, a służąca z matką swoją i z dzieckiem pańskiem powróciła do domu. Oczywiście nie chwaliła się z tem, jak zaniedbała dziecko jej powierzone i wogóle nic nie opowiadała o tem, co zaszło na stacyi.

Zdarzyło się jednak, że do właściciela folwarku prosto z pociągu pojechał jego sąsiad, inny farmer, i opowiedział co widział, jak dziecko uratował jakiś wędrowny biedak. Bogaty ojciec umiał być wdzięczny; wysłał zaraz ludzi konnych, aby dobroczyńcę jego dopędzili i sprowadzili. Stało się tak, jak kazał, i wkrótce stanął ubogi przed obliczem bogacza.

— Jak ci mam dziękować, jak wynagrodzić za uratowanie mego jedynego dziecka? — pytał farmer.

— Nie dziękuj, panie, nie nagradzaj, tylko daj mi pracę, bo umieram z głodu, a wydalono nas z kopalni wskutek pożaru. Szukam zarobku a nigdzie go znaleźć nie mogę...

Podobały się bogaczowi te słowa i dał mu pracę na swoim folwarku. Ubogi miał dach nad głową, ciepłą strawę codziennie i dobrą zapłatę.

Ale na tem się nie skończyło. Bogacz był człowiekiem wdzięcznym, a rozumnym. Najpierw chciał się przekonać, co jest wart ten nieznany człowiek, który mu dziecko uratował i czy godzien jest posiadać majątek, aby go dobrze używać? Gdy po trzech miesiącach nowy parobek sprawował się doskonale i spełniał pilnie a trzeźwo wszystkie posługi, właściciel wezwał go do siebie i powiedział:

— Przyjacielu! Zawdzięczam ci życie mojego dziecka. Odrazu postanowiłem podzielić się z tobą moim majątkiem, ale chciałem wiedzieć, czy umiesz go użyć. Dziś widzę, że tak jest. Zatem przyjmij odemnie 200.000 dolarów (milion koron), kup sobie folwark gdzieś w sąsiedztwie i pozostańmy przyjaciółmi.

Tak się też stało.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. P.: Władysław Kisała w K.: Szarady i wiersze umieścimy, dziękujemy. Co do pieniędzy, wierzymy na słowo, proszę tak zrobić, 2·30 zaraz, reszta 1 października. Stronę numerujemy podwójnie, bo pomyśleliśmy, że tak będzie czytelnikom lepiej. O dawaniu przepisów pomyślimy, tylko trudno wymyśleć dobre a praktyczne. Dziękujemy za pochwały dla *Roli*. Miło pracować, gdy się nie nadarmo pracuje i przyjaciół zyskuje. — Michał Hałas w D.: Wysyłamy najregularniej co tydzień. Proszę się upominać na poczcie. — Michał Sługocki w H.: My całkiem ufamy, ale dla porządku musimy się trzymać terminu. Wszak czekaliśmy długo i zapowiadaliśmy, że prenumeratę wstrzymamy. Proszę przysłać jak najprędzej. Właśnie dlatego, że za 2 korony nikt majątku nie dokupi, łatwo jest tak drobną sumę zapłacić. — Władysław Czopek w S.: Odpowiadamy kartką, numer wysyłamy. — Franciszek Maziarz w Z.: Proszę przysłać, inaczej nam trudno.

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Jakób Kiestrowski z T. W., Józef Krakurka z R., S. Winkowski z P., Jan Słój z J., Wład. Łanoszka z S., Szymon Łacała z K., Antoni Garncarczyk z J., Antoni Ziemny z Z., Wawrzyniec Sydek z G.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Nadesłał Mateusz Zięba z O. B.).

Proszę trochę pomyśleć
I dobrze go określić,
Jest to przedmiot nic więcej,
Jaki ogon »zajęcy?«

2. ŁAMIGŁÓWKA.

Do poniżej podanych części dopisać litery, aby czytane z góry na dół dały imię króla polskiego:

— dam,
— ud,
— cho,
— ura,
— anki,
— men,
— oga,
— uma,
— wa,
— ok.

3. SZARADA.

Koniecznie *trzecie, drugie* na zamkach bywały,
Gdy ich jeszcze broniły przekopy i wały.
Trzecia, pierwsza na każdym prawie jest kościele.
Wszystko zaś niebezpieczne, choć drzymie w popiele.

* * *

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy w nagrodę oprawną książkę z obrazkami J. Wernego p. t. ***„500 milionów Begumy“***. Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 27 b. m. — Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 32 *Roli:* 1. Szarada: **Jagody,** 2. Łamigłówka: **Juliusz Słowacki, Maryan Langiewicz, Kazimierz Odnowiciel,** 3. Zagadka: **Niebo, gwiazdy, księżyc i słońce.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

Jeszcze w piątek dostałem gazetę,
A więc ją czytam choć miałem robotę
I zagadek nie mijam, i tak sobie myślę,
Albo sam pójdę na »jagody«, albo kogo wyślę.

Łamigłówkę także rozwiązałem,
Choć sobie głowę nie bardzo łamałem:
Kazimierz Odnowiciel, Maryan Langiewicz,
Juliusz Słowacki, geniusz jak Mickiewicz.
Tak złożyłem i ci będą najpewniejsi,
Lecz powiem panu F. Gwoździowi, że są sławniejsi.

Ale trzecia zagadka ta dała mi Pietra,
Bo niebiosów nie zmierzył żaden geometra.
A bydła nie zliczył też żaden astronom,
Ani nawet uczony agronom.
Pasterz ten nie zawsze też rogaty jest,
Bo na nowiu, lub pełni tworzy inny gest.
Gospodarz bogaty, to Bóg Pan z wysokiego nieba,
Do niego wszyscy, do niego... czego wam potrzeba.

Józef Witek z Ś.

* * *

Oprócz tego dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadeslali P. P.: Adela Bezokówna z K., Mateusz Zięba z O. B., Roman Jamroz z Szcz., Michał Dudek z Ż., Józef Łyczak z H., Jakób Paft z Ch., Adam Warchoł z Z., Wł. Stefański z G., Józef Gąsior z S., Józefa Hirszberg z K., Michał Pietryka z B., Józef Krukurka z K., Dawid Felczer z P., Antoni Kowalczyk z K., Władysław Kisała z K., Władysław Ćwieka z T., Jan Stachura z S., Józef Strug z L., W. Nowacki z C., Fr. Andrusikiewicz z D., Fr. Migdał z D.

* * *

Jako nagrodę wylosował książkę z 40 obrazkami pod tytułem ***„Młodzież w pięciu częściach świata“*** p. **J. Łyczak** z H.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 17 sierpnia:

Buhaje	Kor.	200	do	375	za sztukę
Woły	„	230	„	375	„
Krowy	„	120	„	264	„
Jałówki	„	120	„	200	„
Cielęta	„	30	„	32	„
Owce i kozy	„	24	„	30	„
Świnie (bita waga)	„	168	„	172	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w dniu 16 sierpnia:

Pszenica	Kor.	9·75	do	10·10	za 50 kg.
Żyto	„	7·30	„	7·85	„
Jęczmień	„	7·30	„	7·60	„
Owies	„	7·30	„	7·50	„
Otręby pszenne	„	4·70	„	4·80	„
Otręby żytnie	„	4·60	„	4·70	„

Rozszerzajcie wszędzie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły!

ZJEDNOCZONE AUSTRYACKIE TOWARZYSTWO ŻEGLUGI PAROWEJ

Austro-Americana

Regularna i  bezpośrednia

komunikacya z Austryi do **Ameryki północnej**: **(Stany Zjednoczone i Kanada)**; **do Ameryki południowej**: Argentyny, Brazylii i t. d.

w ruchu osobowym i towarowym zapomocą najnowszych, pierwszej klasy parowców o podwójnej śrubie.

Na parowcach aparaty telegraficzne bez drutu, systemu Marconiego.

ROZKŁAD JAZDY:

a) Z Tryestu do Nowego Jorku:

Argentyna	22 sierp.
Atlanta	3 wrześ.
Oceania	10 wrześ.
Alice	17 wrześ.
Martha Washington	24 wrześ.
Columbia	1 paźdz.
Laura	22 paźdz.
Oceania	29 paźdz.

b) Z Tryestu do Argentyny przez Rio de Janeiro:

Laura	18 sierp.
Francesca	8 wrześ.
Columbia	29 wrześ.
Argentyna	6 paźdz.
Sofia Hohenberg.	20 paźdz.

Informacyi udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają:

Dla zachodniej Galicyi i Bukowiny:

Kraków: Jeneralna Ajencya Austro-Americany (Goldlust i Ska. Biuro spedycyjno-komisowe) ulica Lubicz 7 naprzeciw dworca kolejowego.

Dla Galicyi wschodniej:

Lwów: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany Na Błonie 2. oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie

Tryest: Dyrekcya Austro-Amerikany, Via Molin Piccolo 2.

Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany, II. Kaiser Josefstr. 36. (79-4-24)

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.

Ja Anna Csillag

z moimi **185 centymetrów** długiemi **olbrzymiemi włosami Loreley,** dostałam je po **14 miesięcznem** użyciu **przezemnie wynalezionej pomady.** Uznano ją za jedyny środek przeciw **wypadaniu** włosów, **wzmożeniu wzrostu** tychże, wzmocnieniu skóry owłosionej, wywołuje **u Panów** pełny **silny zarost brody** i użycza już po krótkiem użyciu tak **włosom na głowie** jakoteż **na brodzie** naturalnego **połysku i obfitosci** i chroni przed **przedwczesną siwizną** aż do najpóźniejszego wieku. Żaden inny środek nie posiada tyle materyi odżywczej dla włosów co pomada Csillag, która zupełnie słusznie zdobyła sobie światową sławę, gdyż Panie i Panowie już po użyciu pierwszego słoika pomady osiągają najlepszy skutek, ponieważ już po kilku dniach włosy nie wypadają a nowe rosną. (67—11-30)



Cena słoika 2 K., 4 K., 6 K., i 10 K. Pocztowe przesyłki codziennie po nadesłaniu należytości, albo **za zaliczką** na cały świat z mojej fabryki, dokąd nadsyłać zamówienia.

Anna Csillag, Wien I. Kohlmarkt 11.

Karty okrętowe!

POLSKIE TOWARZYSTWO EMIGRACYJNE otrzymawszy od rządu potrzebną koncesyę, otworzyło w Krakowie (narazie **ulica KOLEJOWA Liczba 3)** własne

BIURO PODRÓŻY

gdzie sprzedawane są karty okrętowe do wszystkich portów zamorskich, północnej i południowej **AMERYKI.** Wychodźcy, zwracający się do tego biura, otrzymają rzetelną poradę i unikną wyzysku i strat.

Założone dla opieki nad wychodźcami Polskie Tow. Emigracyjne w Krakowie ułatwia znalezienie pracy w kraju i zagranicą i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro pośrednictwa pracy; opiekuje się ono także wychodźcami, udającymi się za morze, pouczając ich, kiedy, jak, którędy i dokąd jechać należy, i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro informacyjne w sprawach wychodźtwa zamorskiego i koncesyonowane biuro podróży; dla Polaków przebywających na obczyźnie utrzymuje przy głównem swem biurze bezpłatną wypożyczalnię książek; wydaje własną gazetę, poświęconą sprawom wychodźtwa p. t. »Polski Przegląd Emigracyjny«; utrzymuje bezpłatne biuro porady prawnej dla wychodźców ułatwia im nabywanie książek, wypisywanie gazet, zakładanie towarzystw oraz załatwianie rozmaitych spraw w kraju, utrzymuje własne biura za granicą, wydaje przewodniki po obcych krajach i słowniki cudzoziemskich języków, ułożone dla użytku polskich robotników itd. itd. P. T. E. jest instytucyą bezpartyjną, mającą na celu wyłącznie dobro polskiego społeczeństwa i polskich wychodźców. Kto więc udaje się na obczyznę lub wyjeżdża do Ameryki, powinien przedewszystkiem zwrócić się do

Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego

w Krakowie, ul. Kolejowa 3. 60-8

(Na dworcu kolejowym krakowskim stale przebywa przy nadejściu pociągu wysłaniec Towarzystwa w uniformie z literami P. T. E).

NA JARMARKU.

— Ej! kupiec, dyć ten was łokieć strasecnie krótkawy mi się widzi.

— Głupstwoszcze powiedźeli moja matko. O ile ten łokiecz jest krótsi, o tyle un jest grubsi, co na jedno wichodży.

DZIEDZICZNE.

— Janie, znów się strąbiłeś jak bela, czy nie możesz się od tego trąbienia odzwyczaić?

— Nie, proszę pana, to już dziedziczne.

— Więc i twój ojciec był pijakiem?

— Nie... ale był pocztylionem!

TRUDNIEJSZA SZTUKA.

W menażeryi podziwiano odwagę dozorcy, który wszedł do klatki tygrysicy.

— To niewielka sztuka — odezwał się szewczyk — żeby moja majstrowa była w tej klatce, toby on nie odważył się wejść do niej!

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.